



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

POD KRZYŻEM.

Skonał na krzyżu w cierniowej koronie,
Z rozciągniętymi nad światem ramiony;
Przebite nogi, przygwożdżone dłonie,
I bok miał rzymską włócznią przebodzony.
W dnia gasnącego uchodzącej łunie,
Wśród gorzkich jęków żałości niewieściej,
Do grobu w krwawym złożą Go całunie,
I świat zapadnie w czarną noc boleści;
A Jeruzalem strach ogarnie głuchy,
Serc ludzkich bicie zatamuje trwoga,
W ciemnościach nocy jęzczyć będą duchy,
Że świat ten, mając Boga—zabił Boga!...

M. Ilnicka.

WIELKANOC

przez

K. Wł. Wójcickiego.

Żadne ze świąt w ciągu roku z taką uroczystością
i staraniami nie było obchodzone, jak *Wielkanoc*
w dawnej Polsce; wraz z kościołem wszystkie sta-
ny brały udział w tym obchodzie.

Są to święta najradośniejsze dla ludu rolniczego,
gdyż przypadają albo z początku wiosny, albo też
już w jej rozkwicie.

Doba to radosna, wpływająca zarówno na zdro-
wie jak na wesołość umysłu—doba, gdy śniegi sto-
pnieją, gdy się pierwsza trawka zazieleni, a pierw-
sze zioła i kwiaty polne wspólnie z leśnymi zaja-
śniają ponad zieleniejącą powierzchnią ziemi.

Ma lud nasz oddzielne pieśni, dobrze nazwane:
Wiosnianki, które wita tę nową porę roku i wy-
dobycie się odrodzonej ziemi Bożej spod skorupy
zimowej lodu i śniegu.

Ztąd u nas ponad Wisłą, Wartą, Narwią, jako
też i w dalszych stronach, powstał zwyczaj, że gro-
mada młodych dziewczoi wiejskich w drugie święto
Wielkiejnocy zbiera rozkwitłe zioła, kwiaty i ziele-
ne z drzew gałązki, wije wiązanek zwaną *Gaikiem*,
i z nią obchodzi tak chaty starszych gospodarzy,
jak i dwory panów, śpiewając dobranym chórem
pieśni do tego obrzędu przywiązane z dawnych
wieków, zbierając przytem dary, dzięki którym
wieczorem wspólną sprawią sobie biesiadę, i
ochoczo się bawią.

Treścią takich pieśni jest radosna uciecha z pory
wiosennej, pocieszenie gospodarza, że pszenica pię-
knie wschodzi, że ochoczo też samo grono śpiewa-
czek, do jej żniwa pośpieszy, — kończy się zaś
wszystko prośbą o podarek.

Na Rusi Czerwonej o tej porze brzmią pieśni
Wiosnianki. Dla poznania ich myśli, przywiode
jedną w pięknym przekładzie A. Bielowskiego, z lu-
dowego narzecza:

„Rozlały się wody,
W cztery wielkie brody,
Srebrną falą cztery szumią strony:
W jednej, dniem i nocą,
Słowiki szczebiocą
I gaj w pieśniach rozkwita zielony;
W drugiej stronie, mała
Kukułka kukała,
Wróćąc lato z gromami i spieką;

W trzeciej, pośród niwy,
Rumak długogrzywy
Rży, bo drogę przeczuwa daleką;
W czwartej stronie, dziewa
Młoda, czarnobrewa,
Łzy i skargi posyła wraz z wodą—
Dla lubego cała
Sercem, duszą pała,
A z nielubym do ślubu ją wiodą!“

Jednocześnie na Mazowszu parobczaki i młod-
sze chłopcy, ustroiwszy z piór kapłonicz *kogutka*,
i tocząc go na kółkach, obchodzą chaty wiejskie
i dwory, i śpiewają pieśń, w której przypominają
chwilę męki i śmierci Zbawiciela. Obdarzani we-
dług zwyczaju mięsem i ciastem z przygotowanego
święconego, wieczorem sprawią sobie wspólną
biesiadę.

Z biegiem czasu, wiele z tych zwyczajowych ob-
chodów już w niepamięć poszło.

Dość tu wspomnieć *Dyalogi pobożne*, *Misterya*,
przedstawiające męczeństwo, śmierć Zbawiciela na
krzyżu i Jego Zmartwychwstanie. — *Dyalogi* te
przetwały tylko do końca XVII stulecia.

Widowiska tego rodzaju miały na celu obudze-
nie tem żywsze owej wielkiej chwili, cierpień i po-
święcenia Chrystusa, w umysłach i sercu tłumów,
widzów i słuchaczy, przedstawiając widomie na
scenie postaci żywych osób, biorących udział
w tym majestatycznym chrześcijańskim dramacie.

Widok Zbawiciela, uginającego się pod ciężarem
krzyża, wywoływał okrzyk zgrozy i boleści, jak
widok *Boga-Rodzicy*, oplakującej śmierć Syna, po-
budzał do serdecznego żalu i łez rzewnych.

W prostocie ducha widzowie przenosili się my-
ślą na Wschód, gdy się rzecz cała działa przed
kilkunastu wiekami, a zachwycona przedstawi-
eniem scenicznym, brała żywy udział w całym wi-
dowisku.

Jakaż-to rozpacz ogarniała tłum widzów, gdy
Zbawiciel, po przedstawionych cierpieniach i męce,

na górze *Golgoty* zawisł na krzyżu, i kończył żywot cielesny i ziemski; jaka nienawiść poruszała na zdrajcę *Judasza*; jaki zachwyt i radość ich porwały, gdy Chrystus, zmartwychwstawszy, ze zwycięską chorągwią w ręku ukazał się jako pogromca *piekła* i zbawiciel dusz cierpiących!

Dyalogi te tak były rozpowszechnione, że nie tylko grano je po miastach ale i po wioskach nasyłych. Przechowywały się one zarówno w rzadkich drukach, jak i w rękopismach.

Polska w cywilizacyjnym pochodzie, idąc na równi z Zachodem Europy, przyswoiła sobie *Misterya*, i nazwała je po swojemu *Dyalogami pobożnymi*. Wiadomo, jak wielką rolę grały *Misterya* we Włoszech, Francji, Anglii i Niemczech w wiekach średnich; bywały one rozmaitych rozmiarów. Dyalog polski *O mece Pańskiej* ciągnął się dni kilka dzień po dniu, a lud oczekiwał go z niecierpliwością i utęsknieniem.

Kościół patrzył pobłażliwie na tego rodzaju przedstawienia, a oceniając ich wpływ moralny na umysł i serca licznych widzów, sam nierzadko dopomagał do ich świętości. Dramata religijne, tak rozpowszechnione i ulubione w XIII wieku w Padwie, Florencji i Fryzji, pisane — o ile sędzić można — były prozą. Nie masz bowiem dowodu, żeby ówczesni poeci Italii brali w nich udział. Pierwszy *Jacopone z Todi* (właściwie *Jakób Benedetti*, żyjący w drugiej połowie XIII wieku), pozostawił próby dramatu ludowego, ujęte już w mowę wiążaną.

Najpierwsze ślady tego rodzaju widowisk w Polsce znajdujemy w początkach XV wieku.

Sławny był nie tylko na Kraków, ale na całą Polskę, *Dyalog Dominikański* z r. 1533 (lubo już podobne mamy z r. 1513). Przedstawienie jego trwało dni cztery; zaczynało się w *Niedzielę kwietną* od prologu wystawiającego wjazd do Jeruzalem Chrystusa, a kończyło na pogrzebie Zbawiciela, we Środę po południu.

Na odegranie tak długiego *Misteryum*, wybierano osobne, dogodnie miejsce; budowano nawet, z niemałym kosztem, rodzaj teatru; przygotowywano się rok cały. Bo też, zaprawdę, takie widowisko wymagało pracy i zachodu niemałego. Sto ośm scen stanowiło całość; występowała ogromna liczba osób.

Wystawa w mniejszych rozmiarach *Dyalogów* odbywała się, jak mówiliśmy, nie tylko po miasteczkach, ale i po wsiach polskich. Wyprawiano je najpierw po kościołach — wtedy mniej przyborów potrzebowano; później w refektarzach klasztornych, wreszcie na cmentarzach przykościelnych. Na rynkach lub po wsiach, klecono naprędce szopę i gałęziami pokrywano zamiast dachu.

W końcu XVII wieku zaczęto usuwać w większych miastach takie widowiska z kościołów, mianowicie w Warszawie, Poznaniu i Wilnie. Uchwala kongregacyi Rzymskiej z lat 1685 i 1686 zabroniła przedstawień dyalogów i misteryów po kościołach.

W wielkim tygodniu nadechodzące święta wprawiały tak w miasteczkach jak po wsiach całą ludność w ruch niezwykły.

Kiedy gospodynie w domu zajęte były pieczeniem ciasta i przygotowywaniem święconego, młodzież i dojrzałsi nawet wiekiem, krzątali się nie tylko około urządzenia grobu, ale zarazem i sceny dla wyprawienia *Dyalogu*.

Zaki szkolne wcześniej zawiadamiali gdzie przybędą i dyalog przedstawia. Oczekiwano ich z utęsknieniem i niecierpliwie. Ludek nasz wiejski (jak tego mamy wyraźne dowody) brał w nich chętny udział. Kmiecie śpieszyli do lasu, zwozili gałęzie choiny, lub rozkwitłych świeżo brzoź i krzewów; przygotowywała dziatwa wiejska saski, fiołki i zioła polne. Znoszono płachty białe i chusty do urządzenia dekoracyi.

Zaki szkolne (a była to młodzież szkolna dorosła, wąsata), pod przewodnictwem jednego, niby *Dyrektora teatru*, postępowali ode wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, bo przedstawianie *Dyalogów* trwało od *Wielkiego tygodnia*, przez całe święta, a po *Wielkiejnocy* ciągnęło się kilka tygodni. Zamożniejsza trupa przejeżdżała na wozach, uboższa, wioząc przybory na furze, szła pieszo, wysyłała tylko jednego przodem z grona swego, na zapowiedź *Dyalogu*.

Proboszcz miejscowy, jak na wsi, szlachcic z ro-

dziną i czeladzią dworską, sołtys z gromadą, — wychodzili na gościnne ich przyjęcie. Pleban, z *klechą* czy organistą, odmawiał krótką modlitwę, poświęcał przybyłych kropidłem, a po powitaniu serdecznym, wiedziono przybywających żaków, jako wędrownych artystów i podejmowano hojnie.

Zwijano się raźnie i tegoż samego wieczora, albo nazajutrz, wcześniej po południu, przedstawiano *Dyalog*.

Lud nasz, pełen prostoty i wiary, przyjmował widowiska z tą samą myślą, która dała im początek i świetny rozwój.

Młode parobczaki, gospodarze i dziatwa wiejska, gdy żaków zbrakło, ale zawsze pod ich przewodnictwem, występowali na scenę. Nie może nas to dziwić, gdy mamy świadectwa pewne, że sami plebani, klechy i organisci przygotowywali dla swej parafii pobożne *Dyalogi* i rzeźwiejszą a sprytniejszą młodzież wiejską zaprawiali wcześniej do tego rodzaju widowisk. Wędrownie żaki mieli w tych parobczakach wiejskich niemałą pomoc przy przedstawianiu *Dyalogu*, a dwór i probostwo łączyło z ludem patryarchalne zbliżenie.

Pierwotny charakter *Misteryów* albo *Dyalogów pobożnych*, który się ściśle trzymał słów *Ewangelii*, zaczął się zacierać. Jak do sztuk dramatycznych, do świeckich komedij między aktami dodawano naśladowane z Włoch tak zwane *intermedia*, zwykle żadnego związku niemające z samą sztuką, tak i do owych starych *Dyalogów* przyczepiano takie *intermedia*, lub nowe klecono, które nie tylko nie podnosiły ich wartości, ale raczej kaziły niestosownością swoją, rubasnością, a często prostym grubiaństwem. Przez to skrzywiono znaczenie i wpływ samych przedstawień religijnych.

Świątły biskup krakowski Bernard Maciejowski, w roku 1603 zakazał tak poniżonych już widowisk; ale stary zwyczaj i przywiązanie do tego rodzaju *Dyalogów*, przetrwały jeszcze blisko sto lat potem.

Dochował się *Dyalog*, przedstawiany często z czasów Zygmunta Augusta i za jego panowania drukowany p. n.: *Historja o zmartwychwstaniu Pańskim*.

Wchodzi tu mnóstwo osób, oprócz Chrystusa i Matki Boskiej, a naczele znajdujemy *Prolog*, który deklamował jeden z żaków do zebranych widzów. Owoż ustępy z niego niektóre dadzą nam wyobrażenie, jak ceniono tego rodzaju widowiska:

„Ile rozkoszy ziemia w sobie miała,
Zmartwychwstałego kiedy oglądała,
Stwórcę swojego: wszystkim udzieliła,
Sama z niebiosy tak się weseliła,
Jakoby znowu stworzona w tym czasie,
Inszą naturę przyoblekła na się.
A jakoż człowiek nie ma być wesoly,
Pojrząwszy w ziemię przyodzianą zioly?”

Z podania ojeów starych i nauki,
Będziem wyprawiać *świętobliwe* sztuki!
Spokojnie proszę tylko wysłuchajcie
I zdrowem okiem na ten akt patrzajcie:
Będzie muzyka i piękne śpiewanie,
A ty dopomóż racz, *Wszechmocny Panie!*

poczem właściwy rozpoczynano *Dyalog*.

W jednej z ostatnich scen ukazuje się Chrystus matce swojej. Ta, upadłszy mu do nóg, witała go słowami pełnymi prostoty i serdecznego uczucia:

„Witaj, Synu mój! jedyne kochanie!
Opowiedział mi anioł twoje zmartwychwstanie!
Witaj o święte, poranione ciało,
Które na krzyżu niewinnie wisało!
Najświętsza głowo i przebite nogi,
Ręce przekłute, i mój boku drogi!
Niechże cię, Synu, mile ucałuję,
Serce w radości wielkiej uraduję.

(Dokończenie nastąpi).

SASIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)

Wyrażone przez pannę sentymta, tak były różne od tych, jakich dawniej doznawała, że Francuzka dopiero teraz uwierzyła, iż owa miłość sielankowa, przez nią uważana za zabawkę, była uczuciem, z którym się rachować musiano. Nastraszyło ją to trochę; dotąd nie brała romansu tak na seryo; teraz zlekka się odpowiedzialności — i podróż do Warszawy wydała się jej tem potrzebniejszą.

Leonilla też, choć jej przykro było opuszczać Łopatycze, nie mogła obojętnie myśleć o stolicy i dała się nią skusić. Mówiono o balach, o teatrze królewskim, — a świat wielki dla młodych jest, co najmniej, ciekawym — nawrócić ją więc nie było bardzo trudno. Ojciec nalegał, matka była szczęśliwa, p. St. Aubin trzpiotała się, myśląc o podróży. Leonilla choć smutna, choć wzdychająca, poddała się woli otaczających.

Wyruszone według zwyczaju dworno do Warszawy, przodem wysławszy Brackiego, aby mieszkanie zamówił, opatrzył i przygotował.

W Sierhnie dowiedział się Strukczaszyce zarazem przez żydów, że mu las na dyferencyi wyciąć w pień zamierzono i że wróg jego z całą rodziną do stolicy wyruszył.

Hojski, kombinując po swojemu, domyślał się, że podróż bez jakichś planów i kalkulacyi przedsięwziętą być nie mogła.

— Nie pojechałby, zagrożony będąc wywłaszczeniem, niemając grosza, gdyby tam czegoś nie knuł i jakiejś się dywersyi nie spodziewał!

Kocha córkę i daje się jej wodzić za nos — może być — ale nie jest tak ciemny, żeby nie widział co mu grozi.

Posłano po Kaczora, aby dalsze roboty potajemne przyspieszyć. Strukczaszyce chciał z niebytności Czemeryńskiego skorzystać.

Tymczasem sędzia przybył do Warszawy, a pierwsze wrażenie, które miasto, dom, mieszkanie i cały ten świat nowy uczynił na Leonilli, było najniekorzystniejsze. Nie podobało się jej tu nic; otwarcie mówiła, że żal jej było Łopatycz; Czemeryński zafrasowany chodził, lecz spodziewał się zmiany. Francuzka mu ją obiecywała pocichu. Sędzia jak tylko się rozpakował, pobiegł do Podkomorzego. Obmyślono środki zbliżenia p. Vogta do sędziarki.

Na intencję, żeby się jej podobał, Czemeryński się modlił, czuł bowiem, że w razie oporu córki, siły do narzucenia jej Niemca mieć nie będzie. Umówiono się naprzód o to, aby owego panicza sędziemu prywatnie pokazać.

Córka Podkomorzego, a dzisiejsza hrabina niemiecka, była właśnie z mężem przy dworze. Zaproszono Czemeryńskiego na wieczór do saskiego pałacu, gdzie w skrzydle państwo grafostwo mieli apartamencik, bo sam pan królewskim był szambelanem.

Z bijącym sercem sędzia ustrojony puścił się o wyznaczonej godzinie, szukając mieszkania młodej grafini. Wyobrażał je sobie bardzo wspaniałym i obszernym, zapomniałszy, że król tu był gościem, a ci, co mu służyli, stali niemal jak w gospodzie, w pałacu, który mnóstwo urzędników dworskich mieścić musiał.

Zdumiał się, gdy go w skrzydle wprowadzono przez ciasną sionkę, do przedpokoiku, wprawdzie pięknie obitego, ale nabitego też służbą — a wprost z niego do dużego pokoju, w którym się już ciężko było obrócić.

Szambelani, dygnitarze, powracający właśnie z polowania, wchodzili i wychodzili, mieniając się. Piękna grafini przyjmowała wraz z mężem, a zoba-

czywszy starego znajomego sędziego, uprzejmie go powitała.

Mówiono więcej po niemiecku niż po francuzku, łamanym językiem, a Czemeryński tak jakoś był skonfundowany, że sławna jego francuszczyzna, którą się posługiwał, z trudnością mu dziś przychodziła.

Nim jeszcze podano wieszak, którą państwo grafowstwo braли z królewskiej kuchni, Podkomorzny, asystujący Czemeryńskiemu, wskazał mu na uboczu u komina, w wojskowo-myśliwskim ubraniu, stojącego, bardzo słusznego wzrostu, mężczyznę, twarz ni pięknej ni brzydkiej, biało kurowatego blondyna, który budową całą i olbrzymiemi, a niezbyt zgrabnemi, kształty, zdradzał swe pochodzenie świeże od pracowitego ludu.

Stojącym był błyszczący i jaskrawo—lecz go to nie czyniło piękniejszym.

— Na hajduka wygląda!—szepnął Czemeryński.

— Ale, co znów—odparł Buchowiecki—nie znasz saskiej szlachty, wszyscy oni tacy drągale.

Pan Vogt, którego tytułowano lejtnantem, był śmiały i mówił wiele, obserwował jednak sędziego, że inni dworacy, wojskowi, szlachta, szambelanowie, lekce go sobie wazyli, niezbyt słuchali, gdy się odzywał, obracali się do niego tyłem—a on też ustępował im z drogi, milkł, i aż nadto się pokornie akomodował. I to mu się w nim nie podobało. Przed wieszakiem zaprezentowano p. Vogta sędziemu i wzajemnie, a że po polsku nie umiał więcej nic, oprócz — „pana topociejka,“ rozpoczęli z sobą konwersację ową sławną francuszczyzną.

Oficer mówił wprawdzie, ale zamiana ciągła *b* na *p*, *d* na *t*—i odwrotnie, Czemeryńskiego mieszała i nie dawała się im porozumieć. Młodzieniec był grzeźny zarazem i potroszę gburawo wojskowy. Przed szlachcą saską pokorniał, ale z Polakiem nie robił sobie zbytniej ceremonii.

Przez cały wieczór obserwując go Czemeryński, gdy wyszedł westchnął ciężko, niebędąc pewnym wcale, żeby lejtnant od świec łojowych, córce się mógł podobać.

Sas, już zapewne uwiadomiony o co chodziło i jak rzeczy stały z Czemeryńskimi, — przypatrywał się przyszlęmu teściowi z ciekawością, lecz bez zbytniej pożądlivosti przypodobania się mu.

W domu napomknął sędzia, że poznał bardzo miłego niemiaszka, wprawdzie nie grafa, ale niezmiernie bogatego, którego pewnie Podkomorzny do nich przyprowadzi.

Domyślną Leonillę dotknęło to mocno. Gdy razem z p. St. Aubin poszły do swojego pokoju, odezwała się do niej:

— Ja już wszystko wiem! Widzę, że mnie tu myślą swatać. Z tego nie będzie nic. Moje serce już nie należy do mnie!

Z trudnością przechodzi nam tu wytłómaczyć postępowanie Francuzki. Widzieliśmy ją płochą a gorąco zawiązującą intryżkę romansową z panem Erazmem, dopomagającą do niej serdecznie, interesującą się losem kochanków. Możliwy z tego wniesić, że musiała stanąć po stronie wychowawcy i powinna była popierać sprawę jej serca.

Ale—jak tylko znikł p. Erazm, ostygło mocno we Francuzce zajęcie się nim. Chwila obecna i ludzie żywi silniej na nią działali zawsze niż wspomnienia. Miłość stała, z przeszkodami, zachwycała ją w romansie, w opowiadaniu; ale w praktyce gotowa ją była p. St. Aubin zawsze godzić z wymaganiami rzeczywistości.

Czemeryński, znając jej wpływ na córkę, szepnął wczasy o bardzo bogatym pretendencie, dając przytem do zrozumienia, że gdyby powiodło się z nim, pani St. Aubin mogła na wdzięczność rachować. Zachwiało to jej przekonania. Pana Erazma, nie zbyt majątnego szlachcica, choć pięknego chłopca, uważała już za partyę niewłaściwą, a cierpieć dlań—na to się jej serce wzdrygało.

Gdy p. Leonilla tak stanowczo oświadczyła, że chce ukochanemu wierną pozostać, Francuzka zmilczała znacząco—nie pochwałała ani ganiła.

W parę dni ukazał się pan lejtnant Vogt z Podkomorzny, ubrany nieco śmiesznie, ale bogato i błyszczący. Sędzina przyjęła go uśmiechami i migami, sędzia—francuszczyzną. Pani St. Aubin dano znać, a żeby wyszła z Leonillą a przedtem czuwała nad jej ubraniem. Nierychło jednak, dosyć nadasana,

raczyła się ukazać panna, z miną tak dumną, z humorem tak niepociągającym, że p. Vogt, chociaż musiał nią być zachwycony — trzy razy próbując rozmowy, ledwie dwa słowa pogardliwie rzucone otrzymał.

Sędzia dobrym humorem i uprzejmością starał się za to wynagrodzić.

Gdy po krótkiej wizycie pan lejtnant wyszedł, pierwsze słowo, które się z ust Leonilli wyrwało, było szyderstwem z jego francuszczyzny i stroju.

Ojciec struchlał.

— Moje dziecię—odezwał się—ja już prawdziwie nie wiem, kto ci się podobać może, kiedy tak dystygowany kawaler w oczach twych nie znalazł łaski....

— Kochany ojciec—odparła Leonilla—może on jest dystygowany i dla saskich panien miły—mnie się wydał śmiesznym.

Rodzice zmierzili się oczyma; ojciec skinął na p. St. Aubin, polecając jej nawrócenie córki, — i dano pokój rozmowie.

Panna Leonilla, jakby na przekór, ciągle ruchy niedźwiedziozowe i mowę saską kawalera naśladowała szydersko.

— Jestto jednak pono najbogatszy panicz na dworze—dodał ojciec.

— Cóż nam tam do jego bogactw!—odezwała się Leonilla,—juściż tatko nie myśli mi go dawać na konkurenta, bo ja, jak królowa Wanda w piosence, za Niemca nigdy nie pójdę.

Czemeryński prychnął.

— Dlaczego?—zapytał—a podkomorzanka?

— Ja — odparła Leonilla — mam swoje przywidzenia i kaprysy, to trudno. Prawda, że tatko nie jada cielęciny? no—ja tak samo Niemców nie lubię. Rozśmiała się dziwnie, wstała i wyszła. Czemeryński siedział jak przybity.

Pan Vogt właśnie dlatego może, iż panna go z góry traktowała i okazała się tak dumną, może też, że w istocie piękną była, nawet z tą swą dumą i chmurą na czole—wyszedł nią zachwycony, uściśnął Podkomorzego i oświadczył z zapałem nadzwyczajnym, iż nigdy w życiu tak pięknej i dystygowanej osoby nie widział.

Pani St. Aubin pociechu odebrała instrukcye. Gdy wieczorem znalazły się same, zaczęła od pochwał p. Vogta.

— Trzeba mu oddać sprawiedliwość—rzekła—ma wiele fizygnomii, prezentuje się po dworsku i cale jest do rzeczy!

— Ty go chwalisz?—spytała marszcząca się samowolna zawsze sędzianka.

— Zmusza mnie do tego miłość prawdy. Znajduję go bardzo przystojnym.

Z założonemi na piersiach rekoma wysłuchała tłómaczenia Leonilla, potrząsnęła głową, stanęła naprzeciw Francuzki i odezwała się stanowczo:

— Moja St. Aubin, bądź zemną otwartą. Rozumiem, że cię o to proszono, abys go forytowała, a to się na nic nie przyda. Znasz mnie, jestem strasznie uparta. Nie łatwo pokochałam, ale moja miłość wszelkie próby przetrwać gotowa.

Francuzka zmieszała się nieco.

— Widzisz serce moje—dodała—miłość a małżeństwo są to dwie rzeczy odrębne. Miłość czysta najpiękniejszą jest, gdy się w łzy rozplynie, a—konieczność zmusza oddać rękę innemu—i—ostatecznie można być z tym kim innym prozaicznie szczęśliwą!

— A! rozśmiała się Leonilla—masz zawsze na swe posługi argumenta.

Potrząsnęła piękną główką.

— Zemną się to na nic nie zdało; ja jestem upartą: gdy raz kocham, to silnie i na wieki.

— A któż ci broni go kochać? — odpowiedziała St. Aubin, nosić go w sercu i pamięci, czasem mu nawet łzę poświęcić, a gdybyście się w życiu spotkać mieli.... Tu jakoś zamilkła zaturbowana.

Leonilla dumnie potrząsała główką.

— Wszystko to, wierzaj mi, nie dla mnie — odparła.

Francuzka próbowała nieśmiało z rzeczywistością pogodzić wychowankę, lecz się jej to nie udało. Leonilla w końcu i słuchać i mówić nie chciała.

— Ma dużo charakteru ta dziewczyna! — szepnęła sobie, głową potrząsając Francuzką—lecz—powoli... ulegnie.

Lejtnant zaczął częściej bywać w domu; panna go zawsze przyjmowała jednakowo.

Sędzia zaklął bonę, aby stanowczy atak przypuściła do córki, po czym sam się z nią mówić wybierał. Tej rozmowy obawiał się i rad był ją odłożyć.

St. Aubin jednego wieczora powróciła do Niemca i jego apologii.

— Proszę cię, moja St. Aubin, na co ty daremnie się męczysz, usiłując mnie nawrócić, gdy wiesz, że z tego nie być nie może?

— Ja właśnie sądzę, że z tego koniecznie coś być powinno — zawołała Francuzka. Mam sobie do wyrzucenia doprawdy, że podałam rękę do tego waszego nieszczęsnego romansu; chciałabym złe naprawić!

— A! a!—uśmiechnęła się słodko Leonilla—tak już mówisz!

— Bom się przekonała, że z tego nie być nie może. Sędzia nienawidzi Hojskich, to są ludzie małej ekstrakcji, drobna szlachta, podobno niemajątna. Sędzia jest w interesach — potrzebuje bogatego zięcia, któryby mu dopomógł ojczysty majątek utrzymać. Sas jest ogromnie bogaty i zakochany w tobie.

Leonilla wysłuchała cierpliwie.

— Moja St. Aubin — odezwała się obojętnie—czy wolisz, żebym ja przepadła raczej niż majątek?

Francuzka rzuciła się ją ścisnąć, protestując, że nikt nie powinien przepadać, że się do Niemca można przyzwyczaić — a ojca należało ratować.

Sędzianka coś na to odpowiedziała niewyraźnie, lecz w postaci jej i wejrzaniu tyle było energii, iż St. Aubin zwątpiła o sobie.

— Panie sędzio, szepnęła po ciehu nazajutrz—niechaj pan sam mówi z córką. Ja już wyczerpałam wszystko.

— I cóż?

— Nie mogę jej ku niemu nakłonić, ma wstręt...

Czemeryński, który córkę kochał, czuł swą słabość dla niej, zawahał się z wystąpieniem, chciał jeszcze przodem wysłać sędzinę. Biedna jejmość pochwyliła go za kolana, potem siebie za głowę, zaczęła się modlić i wymawiać.

— Kochasiu, rybko moja złota, ja nie mogę! Ja nie do tego! Nie — to nad siły, nie potrafię.

Właśnie dnia tego nadbiegł Podkomorzny, nalegając, że Sas gwałtem chce słowa stanowczego i przygotował już do ojca sztafetę, że obiecuje wszystko czego zażądata od niego, byleby mu pannę dano. Czemeryński zwlekać już nie mógł. Po obiedzie ułożono tak, że się samnasam został z Leonillą. Panna może się nawet domyślała czegoś, nie skarżyła się jednak i nie uciekała.

— Moje ty najdroższe dziecko — począł ścisnąć ją ojciec, ty wiesz jak ja cię kocham, jak twoje-go szczęścia pragnę?

— Wiem, mój drogi tatku! — no o cóż to idzie, bo coś bardzo poczynasz seryo!

— Sprawa też seryo — rzekł sędzia: — Wiesz co mnie zdrowia i życia kosztują ci Hojsey—zbojcy i ujadace. Struęczasz mi na karku siedzi, grożąc zabraniem trzech wiossek. Pieniądzy nie mam; on długi nabywa: wypędzi mnie z torbami.

Leonilla słuchała, nieokazując wzruszenia.

— Ty jedna, poczciwe moje dobre, kochane dziecię, ocalić mnie możesz!

— Ja? — szepnęła cicho córka.

— No — ty — ty — rzekł śpiesznie Czemeryński. — P. Lejtnant Vogt oświadcza się natarczywie o rękę twoją, gotów oczyścić majątek. Szaleje, kocha cię.

— A ja go cierpieć nie mogę—odezwała się Leonilla.

Odpowiedź była tak straszliwie stanowczą, że Czemeryński ręce załamał.

— Ja go cierpieć nie mogę! — powtórzyła. — Więc, czy tatko woli mnie stracić czy dwie wioski? Pytanie to usłyszawszy, osłupiał sędzia.

— Mniejsza-by było o wioski, ale patrzajże kto je zagarnie — krzyknął. Niepoczciwy Struęczaszyc będzie triumfował! On! wróg! a ja upokorzony, zwyciężony będę musiał uleść temu niegodziwcowi i zwał! pomyśl, kalkuluju!

Leonilla nie zdawała się czuć tak silnie tych następstw jak ojciec. Spuściła głowę tylko.

— Za tego Niemca ja wyjść nie mogę — dodała — nie mogę.

— Zgubisz więc mnie! — wołał sędzia.

— Chcesz, ojcze, żebym siebie zgubiła! — podchwyciła Leonilla.

Czemeryński zamilkł; spojrzął kwaśnie na córkę i zdziwił się, niewidząc na jej twarzy poruszenia, trwogi, — nie oprócz energii, której złamać się nie spodziewał.

— Więc o jedno cię proszę — zawołał — nie zrywaj, rozmyśl się, zostaw mnie i jemu nadzieję.

— Która się nie ziści — powtórzyła Leonilla, bo ja ojcę powiadam, że za niego nie pójdę nigdy, ani teraz, ani za lat dziesięć, choćby był dziesięć razy bogatszym, a nam jedne tylko Łopatynce zostały.

— A może to być, że ci zbóje i ostatnią wieś zabiorą! — krzyknął sędzia.

Córka nie na to nie odpowiedziała; zbliżyła się tylko do ojca, objęła go za szyję — przytuliła się doń.

— Tatu, tak źle nie będzie — ja ci mówię — bądź spokojny.

— A zkadże ty możesz wiedzieć jaka się nam przyszłość gotuje!

— Ja? — mam przecucia, tatu! Rozśmiała się smutnie.

Jeżeli Niemiec się chce przejechać w Kobryńskie? — któż mu broni?

A proszę się nie smucić! — proszę być wesółym! Pocałowała ojca raz jeszcze i — znikła.

Czemeryński stał i dumiał.

— Płochę to, nierozważne! — sama nie wie co plecie, a uparta!!! Dziej się wola Boża! Niemca trzeba trzymać w odwodzie. Gwałtu jej zadawać nie podobna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Nie wiem czy na wszystkich zwiedzających Wystawę naszego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, widok nagromadzonych dzieł zgasłego artysty, robi tego samego rodzaju, co na mnie, wrażenie, ale sądzę, że wielu doznawać go musi. Przez wiele lat, od czasu do czasu spotykając jaką nową pracę znanego nam z dawniejszych utworów artysty, witamy ją z uczuciem takim, z jakim się wita dobrego znajomego; śledzimy jaki nowy kierunek myśl przybrała, jaką siłą do lotu się wzmogła, jaką formą się wyraża. Ta kompozycja to jakby słowa dawno niewidzianego przyjaciela; te linie, te barwy, to jakby znana twarz, nowemi zmarszczkami myśli i uczucia, nowemi doświadczeniami życia naznaczona. Tak-to z artystą, rozumie się niezagrębanym w rzemieślniczej produkcji, niezagrężonym w rutynie, inteligentnym widz po pewnym przeciągu czasu zawiera przyjacielskie obcowanie; na jego coraz nowe pomysły pędzłem wyrażane, odpowiada mu swoim wrażeniem, swoim gorącym uczuciem, czasem sporem przeprowadzonym w duszy, czasem łzą współuczucia. I naraz, owego znajomego ci przez pośrednictwo sztuki interlokutora widzisz kilkanaście lub kilkadziesiąt zebranych w jedno miejsce utworów, wykonanych lub podmalowanych tylko, takich, przed którymi marzyłeś niegdyś, lub też wydobytych z pośmiertnej teki, lub gdzieś ze świata jak odleciałe ptaki sprowadzonych: twój przyjaciel przesyła ci ostatnie *vale*; czujesz się jakby na uroczystości pogrzebowej — lub na lieytacyi w świeżo osieroconym domu.

Takie wrażenie sprawił na mnie przeszłego roku widok spuścizny artystycznej *Szermentowskiego*, takie wznosiła *Alexandra Kotsisa* kolekcja obecnie w sali Wystawy pomieszczona. Obaj zmarli w sile wieku, obaj przedwcześnie dla sztuki. Pierwszy z zamiłowaniem malował nasze niwy, lasy i wzgórza; drugi z miłością studiował lud po tych niwach i wzgórzach rozsiadły. Cechuje obu, nie dramatyczność, nie groza, ale cicha kontemplacja, wzorowanie prostej natury, uidealizowanej ciepłym serdecznym.

To, co obecnie po s. p. Kotsisii na naszej Wystawie

zebrano, bardzo niekompletnie jego działalność artystyczną przedstawia; większą część stanowią niewykończone studia i pojedyncze charakterystyczne postacie. Charakterystyka typów była przeważną stroną tego talentu; w kompozycjach swoich umiał on jednak utrzymywać środek pomiędzy realizmem obojętnym lub satyrycznym, a idealizmem zapominającym o warunkach rzeczywistości. Jego obrazki wnętrza chat naszego ludu, były idealne, bo były kochającą ręką kreślone, ale i rzeczywistość przypominały aż do ułudy; a pędzel to był jędrny, wyrazisty, niegardzący przytem starannym wykończeniem.

Jego typy charakterystyczne mogą służyć za wyborną podstawę do studyów etnograficznych lub fizjologicznych, odznaczają się bowiem wielką prawdziwością i szczegółowością, a nie przechodzą nigdy w bezduszną, sentymentalizm, lub karykaturę. Przypatrzmy się jego *Straganiarce*, z jak naturalnym nateżeniem muszkułów twarzy i wysileniem ręki drze pierze z twardego koguta; albo obrazek zatytułowany *Piskleta*, jak wdzięczną całość stanowi! Kobieta z miską wody na kolanach, próbuje jaj, w których są zalążone; dopomaga jej, a raczej przeszkadza dwoje dzieci; obok kura wodzi liczne potomstwo, dalej różne szczegóły chaty giną w umiejętnie miarkowanym pomroku. Obrazek *Kobieta dająca owcy sól*, zapowiadała rzecz ładną, ale pozostał niedokończony. *Przy stępie* należy do bardzo ładnych rzeczy; równie jak *Żyd kupujący ziemniaki*. Mniej udatne są te kompozycje, w których Kotsis usiłował do czerstwej naiwnej sielankowości wprowadzić żywioł humorystyczny lub satyryczny, jak tego są przykładem *Mleczarki*, lub *Dzieci na przypiecku*.

Największym z rozmiarów i kompozycji jest obraz *Rekrutacja*, znany na Wystawie naszej jeszcze kilkanaście lat temu. Z obszernego wjazdu pałacu pobiskupiego w Krakowie, zajętego chwilowo przez urząd poborowy, wychodzi tłum charakterystyczny: z konwojem żołnierskim przemierzani rekruci, tylkoco umundurowani, lub też tylko z niektórymi oznakami swojego nowego zawodu. Jeden klnie, drugi pięścią wygraża, trzeci ma łzy w oczach, obok tamtego przy boku postępuje stroskana matka. Po lewej stronie przesłoniczna para staruszków wieśniaków; ona zgnębiona rozpaczą, chłodem i całonocnym czuwaniem, wpoł leży pod murem, on stojąc nad nią pochyłony z twarzą równie stroskaną, starannie ją otula.

Tło obrazu stanowi kamienica, w której zasiada urząd rekrucki. Na balkonie kommissarz, bardzo zagłębiany w gazetę, kombinuje wypadki polityczne; przez okno po lewej stronie widać stojącego pod miarą rekruta; na pierwszym planie stoi wesoły garbusek i śmieje się z wszystkich prostych i rośłych.

W innym zupełnie jest stylu obrazek *Kosiarz*. W głębi nad kopcem wznosi się księżyc w pełni, i bladawym swoim światłem oblewa obszerne łąki i łąny. Na pierwszym planie obok figury kilku drzewami ocienionej, stoi kosiarz i tęskny wzrok w dal zapuszcza, a może śle do nieba modlitwę szczerą.

Sądny dzień, obraz większych rozmiarów, tak jak i *Rekrutacja*, tem się różni od innych tego rodzaju kompozycji, znanych pod tytułem *Żydzi w bóżnicy* i tym podobne, że zawiera tylko półpostacie, głowę zatem są dużych rozmiarów i charakterystyka ich w poważnym stylu trzymana, bardzo wydawniona. Wszyscy zebrani modlą się z wielką żarliwością, choć w różny, od indywidualności każdego zależny sposób. Eardzo to zajmujące studium fizjognomiczne, ale koloryt płowy, często i w innych obrazach Kostisa napotykanym, nie jest przyjemnym.

Obrazy przedstawiające pojedyncze postaci *Górali*, *Żydów*, *Dziewoząt*, *Szlazaka* etc., jako czerpane z natury są bardzo zajmujące: mniej interesu przedstawiają idealne kompozycje *Bachantki*, *Judyty*.

W bliżkiem powinowactwie duchowem z s. p. Kostisem, jest pan *Hipolit Lipiński*. Wyborny to także obserwator i zbieracz typów ludowych, nie pierwszy raz też o nim przychodzi nam wspomnieć. Znajdujący się obecnie na Wystawie „*Tandeciarz*“, żywo przypomina typy często napotykanym, a zaleca się rysunkiem poprawnym i harmonijnym ciepłym kolorytem. „*Targ na Szczepań-*

skiem“ tegoż artysty, przedstawia rozległą panoramę nagromadzonych produktów i natłoczonych osób wszelkiego stanu, płci i wieku. Przekupki przy zawalonych jarzynami i owocami straganach, chłopi z furami i żydzi dobijający targu; służące kręcące się z koskami i panie gospodynie z parasolkami w ręku: wszystko to na tle okalających domowstw, pełne ruchu i życia. Wadą tej kompozycji jest brak powietrznej głębi, stopniowania perspektywy: figury dalszych i bliższych planów, z jednakową siłą namalowane, wyglądają przez to jakby nalepione na płótno; każdy szczegół drobiazgowo wykończony, nie łączy się z innymi w jedną harmonijną całość.

Trzy obrazki p. *Zygmunta Papińskiego*, także znamionują zdolnego obserwatora; koloryt ich ciemny, asfaltowy, nieco zimny, nie jest jednak pozbawionym siły przy umiejętnym użyciu światła i perspektywy. „*Gra w scyzoryk*“ przedstawia kilku chłopczyków, na podwórku czy ulicy, nachylonych ku ziemi i mocno zajętych swoją zabawką. Książki i kajety leżą obok porzucone za ziemi. Obrazek ten mniej ma zalet z powodu pewnej surowości w technice, pobieżności w wykonaniu; za to „*Znużona*“ przypomina najlepsze tego rodzaju wzory hollenderskiej szkoły. Młoda kucharka, powróciwszy z targu, porzuciła obok siebie nakupione prowianty, zasiadła na ławce i oparłszy się plecami o ścianę, wypoczywa. Postać to bardzo dobrze namalowana, a cały widok kuchni, kuchennych sprzętów, jarzyn i drobiu, trzymany we właściwym świetle, wyborną całość stanowi. „*Nudy*“ przedstawiają jakiegoś emeryta, który zasiadłszy przy biurku, tylko jedną czwartą profilu do widza zwrócony, kładzie kabałę. Twarz charakterystyczna, postać dobrze narysowana, a tysiączne graciki, książki stare, chustka i tabakierka, butelka z wodą etc., sprawiają wrażenie ustronia domowego, jakie się często w życiu daje spotykać, pełnego ciszy, kurzu i nudów.

Pana *Maszyńskiego Juliana* „*Chór wiejski*“, równie jak i w poprzednim sprawozdaniu naszym, wspomniany „*Szlacheć na rekolekcjach*“, nie ziszczają nadziei, jakie wzbudziły w nas początkowe prace tego artysty. „*Szlacheć na rekolekcjach*“ raził brakiem gustu w pomysle i w wykonaniu, złym wyborem przedmiotu; w „*Chórze wiejskim*“ niema już wcale pomysłu, a i technicznej stronie dużo można zarzucić. Kilka młodzięcych postaci, trzymany w profilu (dla łatwiejszego rysunku), bezdusznych i bezbarwnych, zajętych jest grą na organach i śpiewem, w drewnianym kościełku wcale niepowabnej architektury. Koloryt mętny i skłócony.

Nie wspominaliśmy w poprzednich naszych pogawędkach o p. *Perlu Edmundzie*, chociaż już kilka jego prac przesunęło się przez sale Wystawy; drobne bowiem były pod względem rozmiarów i znaczenia. Znajdująca się obecnie na Wystawie nowa praca tego artysty, pod tytułem: „*Pracownia domowa*“, jakkolwiek treścią bagatelna i rozmiarem niewielka, przedstawia znaczny postęp w kompozycji i technice. Jest to wnętrze pokoiku służącego artyście zarazem za pracownię i sypialnię. W pewnym artystycznym nieładzie ustawione sprzęty domowe i malarskie, tudzież kot na taburecie, stanowią cały przedmiot tego obrazu.

Zresztą z działy potocznej, mnóstwo bagatelek zapełnia salę. Są to albo próby pędzla w wolnych chwilach, albo rzeczy przygodne, mające swoje prywatne zastosowanie, ale dla ogółu nie przedstawiające interesu.

Takiż obrazek p. *R. Szwojnickiego* „*Czy popłyną razem*“, gdzie para młodych osób przechyla się przez mostek i rzuca na wodę kwiaty, może mieć okolicznościowo wielką wartość, dla ogółu jednak jest to tylko ekspozycja świeżej sukienki i eleganckiego żakietu. Do takiej kategorii, zaliczyć można tegoż autora „*Do źródła*“. Pana *Mireckiego Kazimierza* „*Przechadzkę po parku*“, „*Taras pałacowy*“ etc. Pana *Dylezyńskiego Cyprjana* „*Wspomnienie Ojcowo*“, lub pani *Majewskiej Emilii* „*Star-gane szczęście*“.

Ostatni ów obrazek mógłby już coś ogólniejszego charakteru stanowić; jest tu jakoby dramat, rzecz cenna, a niełatwo spotykać się dająca w utworach pędzla. Leży ślubna sukienka i wieniec mirtowy, a obok stoi przerażona panna młoda z otwartym listem



Zdjęcie z krzyża.

w rękę. Przy drzwiach posłaniec, malutki pazik z kapeluszem w rękę; po lewej stronie zaniepokojona przyjaciółka, spogląda na dziewicę dotkniętą wieścią smutną a niespodzianą. Przedmiot do obrazu bardzo dobry, — tylko trzeba go namalować, a pani Majewska podjęła zadanie nad siły swoje; technika długiej jeszcze uprawy potrzebuje.

Ale przejdźmy już do dzieła mającego pewien większy lub mniejszy odcień historyczny lub legendowy. Oto obraz p. Stan. Mastowskiego „Odbicie branki.“ Noc ogarnia ukraińskie stępy, w głębi obrazu wschodzi księżyc; na pierwszym planie przygasłe ognisko, przy niem śpi Tatarzyn przykucnąwszy, z cugłami w rękę; obok stoją dwa konie i dziewczyna do jednego z nich za warkocze przywiązana. Z głębi widać podsuwającego się jakiegoś jeźdźca. Niemasz tu więc jeszcze żadnego odbicia; branka ma mięć raczej pilnującej Tataru niż niewolnicy na ocalenie oczekującej; ogromny księżyc pomarańczowy niczego nie oświeca; krajobraz i postacie na niem będące, zaznaczone są raczej niż wykonane, według zwyczaju pewnej szkoły, dążącej tylko do ogólnego efektu, a gardzącej wykończeniem. Efekt ogólny bardzo piękną i potrzebną rzeczą jest w obrazie, ale nie stanowi wartości; a tym razem to i on zawiódł artystę.

Pana W. Gersona „Pomorzanie przez dwie Mazurki rozzbrojony i do wsi odprowadzony,“ w miłym jasnym jest kolorycie; ubiory starodawne charakterystyczne, harmonia linii piękna, grupa estetyczną całość stanowi; ale wygląda to raczej na bawidełko, na scenę z żywych obrazów niż na artystyczną reprodukcję strasznej walki, jaką nam naturalnie imaginacja przedstawia. Patrzący dziwić się muszą, iż barczystego dzikiego Pomorzana, dwie smukłe dziewczyny tak bez żadnego wysiłku krępują. Niezrozumiałem też jest: dlaczego wojownicy p. Gersona tak często miecz lewą ręką dzwigają, jak to obecnie u Pomorzana, a także i u rycerza stojącego w obrazie „Napad krzyżacki“ widzieć można?

Tegoż artysty utwór „Święta Jadwiga wchodząca do sali sądowej“ przedstawia salę średniowieczną, sklepioną, ponurą. W głębi stół, za nim sędzia inkwizent i protokolista; na pierwszym planie pacholki wiążą podsądnego, rudy barczysty kat przy ławie torturowej czeka na swoją ofiarę; na lewo przez otwarte drzwi wpada światło dzienne i uwydatnia postać wchodzącej świętej księżniczki, przed którą na kolana pada żona podsądnego i o litość błaga. Charakter świętej daje widzowi otuchę, że straszliwa scena torturowania nie przyjdzie do skutku. Wadą tej kompozycji jest to, że święta Jadwiga, na odległym planie będąca, zaledwie jest zaznaczoną, i rysów jej twarzy wcale rozpoznać nie można; że dalej będąc główną osobą akcji moralnej, znaczenia obrazu, nie wchodzi do kompozycji jako czynnik główny. Inne figury mają konwencyonalną charakterystykę; koloryt chłodny i mętny.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 31 Marca 1878 r.

siuriculum vitae.—Przyszła wystawa Paryzka.—Projekt przeniesienia Izby poselskiej z Wersalu do Paryża. Przycinek ks. Bis-Cmreka —Ruch teatralny i książkowy. —Rzeczy polskie w literaturze francuzkiej. —Grażyna dramat. —Poezye p. Millien'a.—Dzieła naukowe p. Lenormanta *O monecie w starożytności.* —Plan dzieła i jego ważność, klasyfikacja i porządek wykładu. —Co nam do życzenia zostaje? —*Kościół i jego prześladowanie* przez p. Aubégo. — Jaki jest pogląd autora na przedmiot i co się w tej książce zawiera? — Polemika antychrześcijańska Celsa; restauracja ztraconego dzieła; pielgrzymujące filozoficzne sekty i ciekawe szczegóły o Apolloniuszu z Tyany. — Filostrat i jego fałszerstwo ksiąg ewangelicznych. — W. Hugo i jego II Tom *Historii zbrodni.* — Nowe i ważne odkrycie Edisona.—Fonograf w Akademii Nauk Paryzkiej. —Opisanie jego składu. —Ciekawe doświadczenia publiczne. — Co trzymać o wynalazku?

(Dokończenie)

Kościół i jego prześladowanie przez p. Aubé, jest to również dzieło ważne i będące na czasie. Dwa czy trzy lata temu tenże sam autor ogłosił był zaj-

mującą niezmiernie książkę, poświęconą historii prześladowań kościoła aż do końca panowania Antoninów. Dziś wydany tom nowy u Didiera jest dalszym ciągiem poprzedniego dzieła. Nowa książka p. Aubégo jest tembardziej interesującą i ciekawą, iż autor mniej się zajmuje rzeczywistymi prześladowaniami, a więcej daleko pogańską polemiką z drugiego wieku po Chrystusie. Pan Aubé zajmuje się szczególnie pewnym filozofem owego czasu, nazwiskiem Celsus, o którym wiemy bardzo mało szczegółów i który znany nam jest jedynie z gwałtownej polemiki, jaką mu wypowiedział Orygenes i z argumentów, które mi walczył ten niedysy filar kościoła przeciw zarzutom Celsa. Następnie opowiada p. Aubé te niesnaski wewnętrzne, które zakłóciły pokój pierwotnego kościoła, zapalczywe deklamacje Frontona przeciw rodzącemu się Chrystyanizmowi, naigrywanie się Lucyana i tę dziwną próbę konkurencji, z jaką wystąpił Filostrat w swoim *Życiu Apolloniusza z Tyany*, które było prawdziwym podrobieniem Ewangelii i Aktów Apostolskich.

W tym rozbiórce i w tym wykładzie przeszłych zatargów i walki p. Aubé okazał się na każdym punkcie krytykiem głębokim i bezstronnym. Niemała to jest zasługa w podobnym przedmiocie, kiedy rzecz chodzi o religię, zarazem tak pełną siły i blasku i tak wystawioną na gwałty i zamachy nieprzyjaciół bez liku; nie jest to łatwą rzeczą opowiadać o starych waśniach i unikać zarazem aluzji o współczesnej żywej walce. — Historyk jest wystawiony ciągle na wielkie pokusy, polemika nastęrcza mu się sama przez się; unikać tego zwrotu trudno jest i ciężko: zasługa więc jest temwiększa, im większą była łatwość puszczenia się na manowce. Powiedzmy zaraz, że pan Aubé potrafił unikać tego niebezpieczeństwa bez wielkiego wysiłku ducha. Umysł jego czysty i jasny, niezamącony żadnym uprzedzeniem, pozostał bezstronnym i prawym, i autor opowiadając wypadki, sądząc ludzi i dzieła, mimowoli nakazuje nam, byśmy go uważali za człowieka prawego i pisarza wielkiej wartości.

Staranność, z jaką pan Aubé odbudował cały gmach systematu filozofa Celsa, czyni największy zaszczyt jego erudycji i jego przenikliwej pojętności pisarskiej. Zapewne nie jest to dzieło filozoficzne głębokiej i wielkiej koncepcji, to odbudowanie Celsowskiej nauki, ale jest to ważny historyczny pomnik, pełen ciekawych przykładów i nauk.

Po tem odbudowaniu i rozbiórce ksiąg Celsa, jednym z najlepszych studyów p. Aubégo jest część dzieła poświęcona rozbiórowi *Życia Apolloniusza z Tyany*, napisanego, jak się powiedziało, przez Filostrata. Tu nie idzie już wcale ani o żadne prześladowanie, ani o żadną polemikę, ale czysto o pewien rodzaj fałszerstwa.

Apolloniusz z Tyany był to filozof żyjący w pierwszym wieku po Chrystusie, który wiele podróżował po świecie i według wszelkiego prawdopodobieństwa starał się zyskać powszechną wziętość za pomocą światłego wykładu swej nauki i za pomocą dziwnego wpływu szarlataneryi, będącej wówczas w wielkiej modzie, szczególnie w pewnych filozoficznych szkołach. Wielu innych filozofów włożyło się również po świecie w owe czasy, zwiedzając sławne świątynie w Grecyi, w Azji Mniejszej, w Egipcie, w Chaldee nawet, wtajemniczając się we wszelkie z kolei misterya, aby wrócićszy później do Włoch, w stolicy świata zadziwiać i pociągać za sobą zniewieściałych Rzymian, przyklaskując ich obszernej teologicznej erudycji i zachwalstwu słowa, z jakim wygłaszali najskrajniejsze wybryki potwornej i rozwiązałej etyki. Błędni ci apostołowie zbiorowej religii byli to zwykłe ludzie przedsiębiorczy i pełni odwagi, naśladowający w tem mniej więcej wiernie ów wzór tradycjonalny, którym był Pytagoras.

Jednym z najgłośniejszych mistrzów tej pielgrzymującej trupy był w swoim czasie, Apolloniusz z Tyany, zmarły przeszło na sto lat przed epoką, od której poczyna się dzieło pana Aubégo. Wiadomości, jakie zostawił o nim współcześni, nie doszły aż do nas; znajdują się tylko niejakie wzmianki o jego nazwisku i przygodach w pisarzach następnego po nim pokolenia. Kobieta sławna w swoim czasie, otaczająca się gronem uczonych i literatów, cesarzowa Julia Domna, godna towarzyszka Septy-

miasza Sewera, zachęciła Filostrata do napisania biografii tego, prawie historycznego awanturnika, pół bajecznego, pół rzeczywistego teurga i Filostrata, przewertowawszy Ewangelie i Akta Apostolskie, wziął się do dzieła. Książka ta jest to naśladowanie, z którym autor nie kryje się wcale, tak jest widoczne na każdym miejscu, ale do którego nie przyznaje się otwarcie, nie czyniąc najmniejszej wzmianki ani o chrześcijanach, ani o prawodawcy ich wiary; nie jest to również satyra, jak owe pisma przypisywane Lucyanowi, ani też prosta parodia: był to więc czysty plagiat, napisany w tym celu, ażeby dowieść, że padające w ruinę pogaństwo miało również swoich proroków, swoich cudotwórców i że można było bez wypowiedzenia wojny dawnym tradycjom społeczeństwa grecko-rzymskiego pociągnąć ku sobie umysły ogołu za pomocą wpływów czystej moralności i oczarować je wdziękiem cudowności. Ten rodzaj filozoficzno-religijnej powieści Filostrata znalazł wielkie powodzenie dzięki potężnej protekcji cesarzowej, a pamięć Apolloniusza otrzymała nawet zaszczyt oficjalnie ustanowionej ezei i obrzędów, które się utrzymały czas długi.

Po tej próbie literacko-filozoficznej walki przeciw szerczemu się chrześcijaństwu, władza cesarska, widząc jej bezskuteczność, udała się wkrótce do gwałtowniejszych środków oporu. Rozpoczęły się czasy rzeczywistego i strasznego prześladowania chrześcijan. Mamy nadzieję, że p. Aubé da nam wkrótce ciąg dalszy tak pięknie rozpoczętej pracy. Obraz krwawego prześladowania, jakim się odznaczył wiek trzeci naszej ery, odpowie lepiej tytułowi książki i szersze otworzy pole talentowi znakomitego pisarza.

Ukazał się na świat tom drugi, dawno obiecany, *Historii zbrodni* Wiktora Hugo. Nie różni się on wcale od swego pierworodnego ani stylem, ani celem, ani kolorytem opowiadanych faktów. — Czytelnicy *Bluszczu*, którym doskonale tłumaczenie tej książki tak rychło dało poznać prawdziwą jej wartość, będą mi wdzięczni zapewne, że zostawiając im zupełną swobodę wytworzenia sobie o opowieści W. Hugo własnego zdania, swój sąd osobisty zachowam dla siebie. Puszczając się bowiem w recenzje o tej tak dziwnej a tak nas blizkiej historii, znalazłbym się w dość trudnem położeniu: albo znudził czytelnika, powtarzając mu inenni słowa sąd, który sam on już utworzył sobie o tej książce, albo się mu narazić, wypowiadając wcale przeciwne zdanie. Jeżeli więc kiedykolwiek milczenie, jak powiadają Arabowie, było ze złota, to w tej chwili wydaje się ono nawet ze złota kameryzowanego dyamentami. Każdy zostanie przy swoim, a Wiktor Hugo, któremu to jest tak obojętnem, jak te śniegi, które topnieją w tej chwili na naszych polach, zostanie *in aeternum*, wielkim i znakomitym poetą. Przejdźmy więc do innej kategorii, do kategorii wynalazków i odkryć.

Niema co mówić: żyjemy w czasach ciągłego postępu. Niedawno telefon budził w nas wielkie podziwienie, — a oto dziś fonograf czy „phonographe“, jak się podoba pisać — wprawia nas w prawdziwy zachwył! Stare to nasze polskie wyrażenie: „złapać kogo za słówka“, „złapał go za słowo“, urzeczywistniło się w całej rozciągłości swego znaczenia, bo wynalazek fonografu, nietylko, że pozwala złapać słowo i dźwięk jego, ale jeszcze służy do przechowania go na zawsze. Tu dopiero na prawdę powiedzieć można z naszym ulubionym poetą:

Bo wyszedł głos i padł już los,
I tajne brzemie lat
Wydało płód i stał się cud
I rozraduje świat.

Mówiąc mniej poetycznie, oto w skróceniu o co rzecz chodzi. Na posiedzeniu Akademii Nauk w Paryżu, dnia 11 Marca r. b., jeden z jej znakomych członków, znany ze swej nauki fizyk p. du Moncel, ściągnął uwagę kolegów na niewielki przyrząd, złożony na stole Akademii. Był to „mówiący fonograf“, fonograf wynaleziony w Ameryce przez Edisona i którego pierwszy egzemplarz, jaki się pojawił we Francyi, przedstawiony został najuczestszemu ciału tego kraju.

Egzemplarz ten, przeznaczony na Wystawę Powszechną Paryzką, jest to przyrząd albo machinka,

która słucha, notuje to, co się mówi i następnie powtarza według woli jej manipulatora, — jednym słowem, jestto machina mówiąca w całym znaczeniu tego wyrazu.

Amerykańskie dzienniki już nam ogłosiły od pewnego czasu, że niejaki p. Edison doszedł do rozwiązania tego dziwnego zagadnienia: zapisać, zanotować jaką chcą rozmowę, a następnie powtórzyć ją według swej woli. Mówiono już trochę wszędzie o tym wynalazku; ale ogłaszane skutki otrzymane za pomocą tego narzędzia, zdawały się nam tak nadzwyczajnymi, żeśmy mieli niejaką wątpliwość o prawdziwości fenomenów i o rzeczywistości samego odkrycia. Zachowałem się więc biernie i z ostrożnością czekałem na dalsze wypadki. Dziś, wobec jawnych i dotykalnych doświadczeń, muszę wyznać to, czego byłem świadkiem, to jest, że narzędzie złożone w biurze Akademii, mówiło i wyraziło się dosyć dobitnie, abyśmy nie mieli żadnej wątpliwości codo jego działania, szczególnie po uczynionej powtórnej próbie w sobotę d. 17 Marca w sali Towarzystwa Fizycznego, pod N. 44, przy ulicy de Rennes.

Na posiedzeniu Akademii Nauk pan Du Moncel uprosił pomocnika p. Edisona, który mu towarzyszył na to posiedzenie, aby wprowadził w działanie przyrząd fonografu, leżący na biurze. Widzieliśmy wówczas jak ów pomocnik, stanawszy przed narzędziem, odemknął otwór małej trąbki, którą ono jest opatrzone i wymówił przed tym otworem następujące słowa: „Fonograf składa swe uszanowanie Akademii Nauk“. Narzędzie zanotowało te słowa, a po chwili, kiedy się uciszono nakoniec i kiedy nastąpiło zupełne milczenie, machinka powtórzyła jaknajwierniej codo słowa, jakby oddalone echo, też same wyrazy.

Wszystcyśmy klasnęli w dłonie; zachwycenie było powszechne. Nie dziwniejszego w samej rzeczy nad to, żeby słyszeć głosik wychodzący z tego małego narzędzia, jakby z gardła brzuchomówcy, a będący doskonałym naśladowaniem, na małą skalę, głosu, który wymówił pierwszy zapisane słowa. Zapewne, nie jest to zupełnie tenże sam głos poczynający, dźwięk jego jest trochę nosowy, mniej pełny w swem brzmieniu, ale wszystkie szczególne wymawiania zachowane są dokładnie, tak nawet dokładne, że gdy pomocnik p. Edisona, mówił po francuzku z pewnym akcentem, tenże sam akcent zachował wiernie fonograf. Głos pomocnika tak doskonale był naśladowany, że któryś z akademików wołał: „Ale to jest wierutna mistyfikacya, tu musi być jakiś brzuchomówca“.

Przecież dziwny ten na pozór fenomen jest bardzo naturalnym i doskonale się daje wytłómaczyć; wytłómaczenie jego jest nawet tak łatwe i proste, że dowiedziawszy się o co rzecz chodzi, stawiamy sobie zapytanie: dla czego od dawien dawna nie sporządzono już tego fonografu p. Edisona?

Aby usunąć najmniejszą wątpliwość codo rzeczywistości powtarzania głosu przez przyrząd fonograficzny, wezwano p. du Moncel'a, aby z kolei sam użył tego narzędzia. Pan du Moncel, który w wigilię dnia tego po raz pierwszy miał w rękę fonograf, nie był dostatecznie oswojony ze sposobem jego użycia, przecież spróbował natychmiast mówić przed otworem przenośnika głosu; lecz, że się nie zbliżył dostatecznie do narzędzia, zarejestrowanie słów powiedzianych przezeń okazało się niewystarczającym. Jednakże gdy fonograf powtórzył z kolei słowa wymówione przez p. du Moncela, posłyszano ułamki wyrazów, co dowodziło, że jeśli całe wyrażenie nie zostało powtórzonym dokładnie, było to jedynie wskutek niedokładnego zarejestrowania dźwięków. „Akademia dziękuje p. Edison“, powiedział p. du Moncel, przyrząd powtórzył: „Aka... dziek... dison...“

Fonograf łatwo da się opisać codo głównych zasad swojego układu.

Przy podstawie otworu przeznaczonych do przyjęcia głosu, umieszczona jest, jak w telefonie, dźwięczna błona. W pośrodku tej błony znajduje się umocowany, śpiczasty rylec, który końcem swym dotyka poziomego walca miedzianego. Walec ustawiony jest na dwóch podpórkach i osadzony na spiralnej osi. Otóż, kiedy za pomocą małej korby osł ta wprawia się w ruch, wykonuje obrót postępowy, jakby śruba w swojej mutrze, pociągając za sobą walec do powolnego i regular-

nego ruchu i nadając mu zarazem ruch obrotowy około swej osi.

Wiadomo jest każdemu, że rylec dotykając się walca, który się kręci i zarazem posuwa się naprzód, wyślabia na jego powierzchni pewien skręt, którego regularność albo zbieżności zależą od siły popychającej rylec, tak więc i tu, rylec osadzony na dźwięcznej błonie, wyślabia na cynowej powłoce, która pokrywa walec, kresę zwiijającą się w skręty. Kiedy głos mówiącego uderza w dźwięczną błonę przyrządu, poruszenia jej oddziałują na rylec, który porusza się z kolei mniej więcej szybko i oznacza na całym rozwoju skrętu punkciki mniej więcej widoczne i głębokie na cynowej powłoce. Punkciki te, jest to prawdziwe pismo, przepisujące każdy wymówiony wyraz. Są to jakby nuty oznaczone na cynie. Jeśli potrzeba, aby przyrząd powtórzył zapisane w ten sposób wyrazy, dosyć jest sprowadzić walec napowrót na pierwszy punkt wyjścia i za pomocą korby wprawić go znowu w ruch, jak się to odbyło przy zarejestrowaniu głosu mówiącego. Tym sposobem rylec zmuszony jest na nowo przebieść też samą drogę, po tych samych skrętach, które wyślubił poprzednio, musi przejść przez też same dołki i też same wypukłości, które błona drząc zmusiła go do oznaczenia na cynowej powłoce; ale przebiegając te zarzysy, rylec musi się to oddalić, to zbliżyć do walca, a przecie jest szczerlnie spojony z błoną: ta więc również będzie zmuszona to oddalić się, to zbliżyć do swej linii pionowej stosownie do ruchów ryłca — ulegnie więc pewnemu drżeniu i to drżenie będzie zupełnie takie samo, jakie oznaczone zostało na walcu, przez pierwotne poruszenia ryłca.

Tym sposobem każdy dźwięk się powtarza i każdy wyraz zostaje wymówionym ze wszystkimi odróżniającymi go własnościami: doniosłości, brzmienności i dźwięku. Ztąd przyrząd ma podwójną czynność. Śruba się obraca, zaczynamy mówić, słowa się zapisują na walcu — tu fonograf piszący kończy swoją funkcję. Słowa są zapisane jakby jakaś muzyka i nie pozostaje jak zdjąć z walca cynowy papier, schować go starannie aż do chwili, kiedy będzie potrzeba go przeczytać. Wówczas nawija się go na walec przyrządu, który jest fonografem powtarzającym, a ten za pomocą korby i walca tłómaczy dźwiękami to, co jest zapisane na cynowym listku — rozmowa powtarza się dokładnie i jasno. Wysłuchawszy i zapisawszy jak skoropis, fonograf przemawia za danym rozkazem.

Dnia 16 Marca w sali Towarzystwa fizyki pod N. 44, przy ulicy de Rennes, odbyło się posiedzenie, przeznaczone na wysłuchanie sprawy fonografu. Pan du Moncel po wstępnym wytłómaczeniu przyrządu codo jego składu, o czem mówiliśmy wyżej, dodał, że wynalazca i wielu innych uczonych zajmuje się w tej chwili jego udoskonaleniem i że jest nadzieja, iż fonograf zatrzyma niezawodnie dźwięki głosu wtenczas nawet, kiedy te wymówione zostaną w pewnym oddaleniu, a nie przy otworze przenośnika, jak się to odbywa w tej chwili. Dodał przytem, że wynalazca, p. Edison, zbudował fonograf, w którym papier cynowy zamiast się zwiijać na walcu przystosowuje się do deski poziomej, co pozwala na wygodniejsze rozciągnięcie papieru i zastosowanie go następnie do innej deski. — Łatwo jest bowiem zrozumieć, że skoro pierwsza odbitka głosowa otrzymaną została, jest to rzecz najważniejsza, aby później w przyrządzie powtarzającym toż samo położenie listkowi cynowemu nadane być mogło; inaczej dźwięki nie zostaną wyrażone z należytą ścisłością.

Na tem posiedzeniu odbyły się rzeczy mniej solennie i daleko weselej niż w Akademii Nauk. Najpierw doświadczenia rzucił fonografowi w przewodowy otwór następujące słowa: „Fonograf składa Towarzystwu swe uszanowanie“. Tu nastąpiło głucho milczenie. Po zwykłej manipulacji, opisanej już wyżej, fonograf powtórzył pozdrowienie jasnym i donośnym głosem, co wywołało grzmiące i powszechne oklaski. Następnie, powtarzając jak za panią matką pacierz, fonograf się zapytuje: panie fonografie, czy mówisz po francuzku? — „tak panie, następuje odpowiedź, chociaż należałoby sprawiedliwie dodać, że mówię, ale z niedobrym akcentem“. Nakoniec każą mu się śmiać, krzyżeć „hura!“ i samemu sobie dać oklaski. — Jednym słowem, to nowe doświadczenie powiodło się doskonale, a to-

warzystwo nowemi i gorącemi oklaskami okryło przemowę, a raczej domówienie p. du Moncela, który dowiódł przykładem i teorią, że wszelkie zarzuty czynione temu przyrządowi, jakoby był oparty na oszustwie, posługując się brzuchomówstwem albo przewodnikami zręcznie zastosowanymi głosu (*Tuyaux acoustiques*) były płonne i bez żadnej zasady. A teraz: jakie ztąd może wynikać następstwo? Praktycznie zdaje się żadne, chyba nowe odkrycia nowe temu wynalazkowi wskazały zastosowanie. — W dzisiejszym stanie wynalazku, jest to ciekawy fenomen, subtelne odkrycie, wysoko posunięty zmysł spostrzegania, ale jest to uczona zabawka tylko i nie więcej.

HISTORIA ZBRODNI

T O M II.

DZIEŃ TRZECI.

(Dalszy ciąg).

W dwóch następnych rozdziałach opowiada autor dwa epizody uboczne, swoim rozciekawiającym ale często niepotrzebnym — dytyrambicznym sposobem. Piękniejszym literacko, jest opis zbliżającej się tajemniczej katastrofy, którą Paryż czuł nad sobą, ale jej jasno określić ani mógł, ani chciał. Ciemności te wszakże miały się wnet rozjaśnić krwawo, bo oto co dalej:

(Zatrzymujemy tu w znacznem skróceniu styl znany W. Hugo).

„Nagle rozwarło się okno...“

Nad piekłem.

Gdyby Dante przechylił się z wysokości cienia, mógłby być ujrzeć w Paryżu ósmy krąg swojego poematu, czyli pogrobowy bulwar Montmartre.

Paryż oddany na łup Bonapartego, — ohydne widowisko.

Smutni ci ludzie uzbrojeni czuli, że w nich wstępuje jakaś straszna dusza, przestali być samymi sobą a stali się demonami.

Nie było tu ani jednego żołnierza francuzkiego, ale były jakieś widma, spełniające okropną czynność przy połysku fantastycznym.

Nie było już sztandaru, ani prawa, ani ludzkości, ani ojczyzny, ani Francji: rozpoczęto rzeź.

Dywizya Schinderhannes, brygady Mandrin, Cartouche, Poulailleur, Trestailon i Troppmann, ukazały się w ciemnościach, mordując i kartacząc.

Bywały w historii straszliwe rzezie. — prawda, — ale miały one swoją rację bytu; — rzeź S-go Bartłomieja i Dragonnady dadzą się wytłómaczyć religijnymi pobudkami.

Drugi Grudnia był zaryzykowaniem się, czwarty zabezpieczeniem.

Przeciw powstającemu oburzeniu stawia się przeciwnych.

A Eumenida — Sprawiedliwość — przystaje skamieniała przed furją: zniszczeniem. Przeciw Erynii — wystawia się Meduzę. A jakież-to tryumf, zmusić do ucieczki Nemezis!

Ludwik Bonaparte posiadał tę chwałę, która jest szczytem jego hańby.

Opowiedzmy...

Morderstwo ludu przez jednego.

Nagle, na dany znak, wystrzał karabinowy dany, mniejsza o to z kąd i karatacze sypią się na lud... Kartacz nie wie gdzie idzie i co robi. Zabija i pędzi dalej.

Ma przytem rodzaj duszy — bo jest w nim premedytacya — wykonawcą jest woli... Garść piorunów zwała się na lud. Nic prostszego.

... Po coście tu przybyli? Umrzyjcie. Być przechodniem, znaczy zbrodnię. Po co jesteście tu na ulicy?...

Zapowiedziano coś, co się spełni, więc się spełnić musi — potrzeba przecie, iżby się skończyło to,

co zostało zaczęte; — ponieważ ratuje się społeczeństwo, zatem potrzeba zniszczyć lud.

Alboż niema konieczności społecznych? Alboż nie trzeba, iżby Beville pobierał 87,000 franków rocznie, a Fleury . 5,000?

Alboż nie trzeba, iżby wielki jałmużnik Menjaud, biskup Nantejski, pobierał 342 franków dziennie, i żeby Bassano i Cambacérés, mieli każdy z osobna dziennie po 384 franków, a Vaillant 468, a Saint-Arnaud 822? Alboż nie trzeba, ażeby Ludwik Bonaparte miał 76,712 franków dziennie?

W gnieniu oka odbyła się na bulwarach rzeź, ciągnąca się na ćwierć mili. Jedenaście armat przedziurawiło hotel Sallandrouze.

Kule przewierciły na wylot dwadzieścia ośm domów. Łaźnie Jouvenca i Tortoni, zniszczone. Całe jedno przedmieście Paryża zapełniło się olbrzymią ucieczką i okrzykiem przerażającym. Wszędzie śmierć nagła. Nikt niczego nie przypuszczał.

Padają. Zkądże to? Z góry — opiewają panegiriki. Z dołu — mówi prawda.

Niżej niż z galer, niżej niż z piekła.

Ksawery Durrieu wchodzi na bulwar. Opowiada: „Postąpiłem sześćdziesiąt kroków, ujrzałem sześćdziesięciu trupów“.

Znajdować się na ulicy — zbrodnia; — znajdować się u siebie — zbrodnia.

Dusiciele wpadają do domów i dławia.

Adde, księgarz na bulwarze Poissonière N. 17, stoi przed swymi drzwiami. W tejże chwili, — bo mord sięga szeroko — bardzo daleko ztąd na ulicy de Lamery, właściciel domu N. 5, p. Thirion de Montauban, stoi także przed drzwiami — zabijają go. Panna Soulac na ulicy Temple N. 196, otwiera swoje okno — zabijają ją. Na tej samej ulicy N. 97, dwie kobiety, szwaczki, są u siebie — zabijają je. Belval na ulicy de la Lune, jest u siebie, zabijają go. Debaecque, kupiec, na ulicy du Santier, jest u siebie — zabijają go. Couvercelle na ulicy S-go Dyonizego jest u siebie — zabijają go...

(Tu autor wymienia duży jeszcze szereg nieśczęśliwych ofiar, i mówi dalej.)

Przechodzące, panna Gressier, pani Guillard i pani Garnier, padły pod kartaczami. Żyjąc przecie, podnieść się chciały, ale wtedy żołnierze wśród szalonego śmiechu biorą je na cel, i padają one już na dobre bez życia...

Taką była wyprawa, niedająca się opisać. Wszyscy, którzy w niej pracowali, mieli za sobą siły tajemnicze, wszyscy mieli coś, co ich popychało: Herbillon miał za sobą Zaatca, Saint-Arnaud Kabylią, Renault sprawę wsi Saint-André i Saint Hippolyte, Espinasse Rzym z d. 30 Czerwca.

Magnan swoje długi.

Czyż trzeba mówić dalej?

Doktor Piquet, starzec 70-letni, zabity został w swoim salonie kulą w brzuch; malarz Jollivart przed swoją sztalugą kulą w czoło, a mózg jego obryzgał obraz. Angielski kapitan Wilhelm Jesse umknął zaledwo kuli, która ugrzęzła w suficie — w sąsiedniej księgarni zarabano szablami ojca, matkę i dwie córki, a innego księgarza rozstrzelano w jego własnym magazynie. Innych nadzieli na piki ułani. I t. d. i t. d. A przytem ileż domów zwaliło się w gruzy!

Nikt nie umknął.

Dzieciak 13-letni schował się w sklepiku zabawek, pod pęk bawidełek, wyciągnięto go i zabito. Ci, co go zabili, szablami rozszerzali mu ranę...

Czterech ludzi rozstrzelano przed tym samym sklepem, a oficer rzekł do nich: „To was odczyt włozenia się“.

(Nie powtarzamy tu codo słowà wszystkich tych strasznych szczegółów za autorem, — tylko główne i rzeczywiście ohydne).

Jedna brygada mordowała przechodzących koło Opery, druga od Opery do Gymnase, — inna z bulwaru Bonne Nouvelle do bramy Saint-Denis. Pułk 75 liniowy, uprzątnąwszy barykadę bramy S-go Dyonizjusza, nie walczył, ale rzezał.

Rzeź błyszczała — straszliwe słowo, ale prawdziwe — od bulwarów na wszystkich ulicach.

Uciec? Poco? Skryć się? Poco? Śmierć pędziła za tobą prędzej od ciebie. Na ulicy Pagevin, jeden z żołnierzy rzekł do przechodzącego:

— Co tu robisz? — Idę do siebie. Żołnierz zabija go. Na ulicy Merais zabijają czterech młodzieńców na podwórzu w ich domu.

Pułkownik Espinasse krzyczał: „Po bagnecie, armata“. Pułkownik Piquet wrzeszczał: „Szpijkujcie, rąbcie, puszczajcie krew“. I dodawał:

„Oszczędza się przez to prochu i hałasu“.

Przed magazynem Barbedienne, oficer pokazywał swoim kolegom wyborną swą broń, chwalał ją, i na dowód mierzył do przechodniów i kładł ich trupem.

Rzeź szalała.

Podczas kiedy pod wodzą Carreleta zapełniała bulwar, — brygada Bourgon niszczyła Temple, brygada Marulaz ulicę Rambuteau; dywizya Renault odznaczała się na lewym brzegu.

Ulicę *Aux Ours* szczególnie zniszczono. Wieczorem rzekł Morny do Bonapartego: 15-ty pułk dobrze się spisał, oczyścił ulicę *Aux Ours*...

(Znowu szereg ofiar wylicza autor z niezblaganą ścisłością).

Doktor Seo utrzymywał, że na jednym podwórzu opatrywał 80 rannych, „samyh starców, kobiety i dzieci“. A przed domem Odier 26 trupów, a na ulicy Mandar „cały różaniec z trupów“ — 30 przed hotelem Montmorency. Przed teatrem Variétés 52, z których kobiet jedenaście i t. d., i t. d.

Żołnierze zakładali się. — Założmy się, że tego trafie. — I w ten sposób zabili wchodzącego do siebie na ulicy de la Paix pod N. 52, hrabiego Poninśkiego.

„Chciałem się przekonać — mówi W. Hugo — o faktach. Poszedłem na miejsce rzezi.

... Śmierć innych taką sprawia zgrozę, że chciałbyś sam zginąć.

Gdyby tylko śmierć na co posłużyć mogła! Chciałoby się być... „trupem pożytecznym“.

Szedłem straszliwie zamyślony. Na bulwarze spotkałem Juliusza Simon. Doszedłem. Widziałem tę rzeź, tę zbrodnię, tę tragedję, to miotanie się ślepej śmierci, widziałem obok siebie tłumy przerażonych i mordowanych — i dla tego podpisuję na tej książce: *zeznanie świadka*.

Wiadomo, że całkowita liczba tej rzezi nie jest wiadomą. Bonaparte zakrył liczbę nocą tajemniczą. Taki zwyczaj morderców.

... Jeden wszakże z pułkowników, o których mówiliśmy na wstępie, twierdził, że sam tylko pułk jego zabił: „najmniej dwa tysiące pięćset indywidualów“. Wypadałoby więcej niż jeden na żołnierza.

Zdaje się nam, że pułkownik w gorliwości przesadził.

Lireux, pisarz, który cudem umknął rozstrzeleń, oświadcza, że widział więcej aniżeli 800 trupów“.

Około godziny czwartej, powozy, które stały na podwórzu w Elizeum, odprężono.

Ta rzeź, którą wspomniany Wiliam Jesse nazwał: „strzelaniną bez powodu“, trwała od godziny drugiej do piątej.

Podczas tych okropnych trzech godzin, L. Bonaparte wykonał plany w owem zamysleniu podjęte i dopełnił dzieła. Aż do tej chwili biedne sumie-

nie mieszczkańskie było prawie pobłażliwe. No i cóż — „zabawka“.

Sceptycy nawet i zdolni mówili: „Dobrą farsę urządził tym głupcom“. Nagle L. Bonaparte zaniepokojony, zdemaskował „całą swoją politykę“.

Pozostawiono trupy leżące na bruku, trupy z przerażonym i osłupiałym wyrazem na twarzy, blade, z powywracanemi kieszeniami.

Kiedy noc nadeszła, radość i zapach w Elizeum. Ludzie ci tryumfowali. Conneau opowiedział w całej naiwności tę scenę.

Domownicy byli w szale. Fialin mówił „ty“ Bonapartemu.

— Pozbądź się tego przyzwyczajenia — rzekł do niego po cichu Vieillard.

Rzeczywiście, rzeź kreowała Bonapartego władcą Francji.

Ucztowano i palono cygara na wzór żołnierzy z bulwarów. Po mordowaniu całodziennem pito noc całą; wino lało się po krwi.

Elizeum promieniało z powodzenia. Podziwiano się nawzajem i wielbiono. Co za myśl miał ten książę! jak on ją poprowadził!

— Przecież to lepsze od ucieczki przez Dieppe jak to uczynił d’Haussez, albo przez la Membrolle, jak Guernon-Ranville⁽¹⁾, albo od tego, ażeby być schwytanym w przebraniu za lokaja i czyszczącym trzewiki pani de Saint-Fargeau jak ten biedny Polignac!

— Guizot nie był zręczniejszym od Polignaca — zawołał Persigny.

Fleury zwrócił się do Morny’ego: „Wasi doktrynerzy nie daliby rady zamachowi stanu. — Prawda — nie tędy byli — odrzekł Morny i dodał: Ale zawsze ludzie to sprytni, ten Ludwik Filip, Guizot i Thiers...“

Wtedy L. Bonaparte, wyjmując z ust papierosa, przerwał: Jeżeli to mają być ludzie sprytni, to już ja wolę być głupcem...“

— Okrutnym! — mówi historia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

CZŁOWIEK ŚMIECHU

Powieść

WIKTORA HUGO

przełożona z francuzkiego przez

Felicjana Faleńskiego

w 4-ch tomach

zniżona w cenie z rs. 3 na rs. 1 k. 50.

Sprzedaje się w księgarni Michała Glücksberga (Wydawcy „Bluszczu“), oraz we wszystkich księgarniach.

⁽¹⁾ Ministrowie Karola X w sławnym procesie tak zwanym: „Le procès d’ordonnances“. (Przyp. Streszczającego).

TREŚĆ. Pod krzyżem, (poezya). — Wielkanoc, przez K. Wł. Wójcickiego. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd artystyczny, przez W. Bartkiewicza. — Nowiny paryżkie (dokończenie). — Zdjęcie z krzyża, (klisza). — Historia zbrodni, W. Hugo, przełożył Edward Lubowski.